

Jan Maciejewski: Kołysanka

Weź mnie wszędzie ze sobą. Nie musisz mnie widzieć, ale pozwól mi na siebie patrzeć. Kiedyś cię odłożę, oddam cię trawie, ziemi, kamieniom. Będę patrzyła, jak ruszasz przed siebie. Najpierw na czworakach, potem, chwiejąc się, zaczniesz chodzić. Czasami będę traciła cię z zasięgu wzroku. Ale kiedy tylko zamknę oczy, będzie tak jak teraz – przedstawiamy opowiadanie Jana Maciejewskiego zainspirowane obrazami Beaty Stankiewicz.

Nareszcie zasnąłeś. Wybacz mi, nie znam żadnych piosenek odpowiednich dla twoich uszu. A coś przecież śpiewać powinnam – tak czuję. Zasnąłeś ze zmęczenia, po długiej drodze. Potrzebujesz tych kilku godzin. Widzisz, ja też ostatnio sporo przeszłam. Chwieje mi się głowa, przymykają powieki. Ale nie chcę zasnąć. Powinnam przecież czuwać nad twoim snem. Tak bardzo chciałabym ci coś pośpiewać. Inaczej niż do tej pory – ze słowami. Ale znam tylko te słowa, które mi śpiewano. Nie byłam wiele starsza niż ty teraz, kiedy zaczęłam ich słuchać. Niewiele, prawie nic z nich nie rozumiałam. Ale miały swój zapach i barwę. I swoje miejsce. A nie wydaje mi się, żeby tutaj pasowało. Chyba nie powinnam. Nie ma tu murów ani krużganków. Nie czuję kadzideł, tylko chłód. Ale nic nie poradzę, że tak bardzo chcę śpiewać, kiedy na ciebie patrzę. Twój sen wydaje mi się teraz samotny, jak muzyka bez słów.

Śmieje się Ten, który mieszka w niebie, Pan się z nich naigrawa, a wtedy mówi do nich w swoim gniewie i swą zapalczywością ich trwoży: «Przecież Ja ustanowiłem sobie króla na Syjonie, świętej górze mojej».

Czy jesteśmy jedynymi ludźmi na ziemi? Tak właśnie się czuję. A może powinnam cię odłożyć? Nie, na to jeszcze nie przyszła pora. Jeszcze przez jakiś czas będę czuła twoje ciepło. Twoje ciało, bezwładne w moich rękach. Czasami przechodzi przez nie dreszcz. Nie zatrzymuje się na granicy twojej skóry, przechodzi przez nią i krąży potem we mnie. Zatacza we mnie koła i znaczy zygzaki, aż powoli gaśnie, jak iskra wystrzeliwująca z ogniska. Chciałabym, żeby już tak zostało. Ale to nie ode mnie zależy. Gdybym mogła wybierać... Weź mnie wszędzie ze sobą. Nie musisz mnie widzieć, ale pozwól mi na siebie patrzeć. Kiedyś cię odłożę, oddam cię trawie, ziemi, kamieniom. Będę patrzyła, jak ruszasz przed siebie. Najpierw na czworakach, potem, chwiejąc się, zaczniesz chodzić. Czasami będę traciła cię z zasięgu wzroku. Ale kiedy tylko zamknę oczy, będzie tak jak teraz. Każdy twój dreszcz będzie moim. Zamknąć oczy, chociaż na chwilę...

Przeczytaj: Wszystkie teksty Jana Maciejewskiego dla „Teologii Politycznej”

Ty nie chcesz, żebym czuwała nad twoim snem. Ani nad pierwszym, ani żadnym kolejnym. Chcesz mnie do niego zabrać. Spać twoim snem, śnić twoje marzenia i koszmary... Przechodzą przez twoją skórę jak woda przez materiał. Wzbiera we mnie, unosi nas oboje; odpływamy, daleko stąd. Tak, zabierz mnie, proszę. Ucieknijmy stąd i nigdy nie wracajmy.

Dobrze, zostanemy. To samo miejsce, wyszarpane nocy. Drzwi chwieją się na wietrze. Wydaje mi się, że kiedy się otworzą to wejdzie przez nie noc we własnej osobie. Jesteś tu dla niej, jak ja jestem dla ciebie. Śpij, mój mały. Śpij, a ja będę ci śpiewać.

Od rana stoję przed tobą i czekam. Nie ostoją się złoczyńcy przed twymi oczyma. Nienawidzisz wszystkich nieprawość czyniących, niszczysz wszystkich kłamców; krwiożercą i zdrajcą się brzydzisz.

Drzwi się otwarły. Noc, która przez nie weszła, ma na sobie marynarkę i wygniecioną koszulę. W prawej dłoni trzyma nieodpakowaną paczkę papierosów. Siada pod ścianą. Ściąga folię, otwiera paczkę, wyjmując papierosa. Przygląda mu się przez chwilę, jakby zapomniał, jak się nazywa ten dziwny przedmiot i do czego służy. Po chwili umieszcza go jednak między ustami. Jego twarz, jeszcze przed chwilą zagubiona – jakby nie wiedziała skąd się tu wzięła – wraz z kolejnymi haustami dymu nabiera wyrazu pewności siebie. Uspokaja się, odpręża.

A ty wręcz przeciwnie, mój mały. Ledwie dostrzegalny grymas przebiegł po twojej twarzy. Mężczyzna, który jest tu z nocy, gasi niedopałek o podeszwę buta. Wyjmuje z kieszeni marynarki niewielki notes i pióro. Wrywa jedną z kartek, zaczyna pisać. Jest spokojny. Widzę tylko tyle, że zaczął od daty. Czy to donos? Podanie? A może wiersz albo pomysł na artykuł naukowy? Nie ma między nimi wielkiej różnicy. Ty znasz i rozumiesz każde z jego słów, do mnie dociera tylko ich zapach. Lepka,

słodkawa woń zdrady. Jeśli to donos, to na niewinnego. Jeżeli wiersz, to obliczony na poklask. I tak dalej. Naprawdę, słowa nie mają znaczenia. Na początku jest zapach intencji i na końcu też tylko on się liczy. Dym papierosa nie gryzł nas w płuca tak bardzo jak wyziewy rozchodzące się od jego kartki. Ale coś chyba zaczyna mu przeszkadzać, kochanie.

Gubi rytm, dłoń zacina się, jakby w piórze kończył się atrament. To nie to. Zmrużył oczy, rozgląda się. Sprawdza czy nikt go nie widzi. Zdrajca zawsze chce być niewidzialny. Każde oczy są dla niego oskarżeniem, nawet te zamknięte. Zanurza dłoń we włosach, gestem jakim zbrodniarz ukrywa swoje narzędzia. Wstaje, otrzepuje się. Składa kartkę na pół i chowa ją do kieszeni spodni. Patrzy w naszą stronę, ale nie na nas. Zaczyna podchodzić. Z każdym krokiem staje się mniejszy – tak, że gdy stoi przed nami musi zadzierać głowę w górę. Chyba wydaje mu się, że jesteśmy tylko namalowani. Że nas tu tak naprawdę nie ma. Ale nie jest tego pewien. Niczego już nie jest. Wsadza ręce w kieszenie jakby szykował się do odejścia, ale nie potrafi się ruszyć. Przygryza wargi, zastanawia się. Próbuje wyciągnąć z kieszeni papierosa, ale jego ręka zastyga w połowie drogi. I teraz nie chce już być sam. Rozgląda się, tym razem z nadzieją, że ktoś się wreszcie pojawi. Przerwie jego sam na sam z nami, oderwie od niego twoją uwagę. On ci się śni, kochany, to jest twój sen, więc możesz z nim zrobić, co zechcesz. Najgorsze jest jednak to, że czekasz, co on postanowi. I tego nie jest już w stanie wytrzymać. Wyciąga kartkę z kieszeni i drze ją na strzępy. Odwraca się i rusza do wyjścia. Potyka się i pada na ziemię. Zaczyna coś szeptać; słowa wypadają z niego jakby odrywały się od płuc w spazmach kaszlu.

Teraz oboje widzimy już na czym polegała jego zdrada. Chciał za mało. Odmierzył słowa na swoją miarę. Zagarniał nimi dla siebie przestrzeń, być może chodziło o mieszkanie, posadę albo i o sławę. Tkał ze słów

worek, do którego próbował zagarnąć jak najwięcej którejs z tych rzeczy. Jesteśmy we śnie, więc wychodzę z obrazu, na który przed chwilą patrzył i podchodzę do niego. Zapytam, czy czegoś mu nie potrzeba – dobrze, mój mały? Albo pogłaszczę go tylko po głowie, bo teraz zawodzi jak małe dziecko.

Już jestem z powrotem. Jakoś dziwnie na mnie patrzył. Jakby się właśnie obudził i próbował dowiedzieć ode mnie co się z nim działo. Nie przez jedną noc, ostatnie kilka godzin, tylko całe lata. Notes wypadł mu z kieszeni, kiedy się przewrócił. Dałam mu go do ręki. Najpierw popatrzył na niego ze wstrętem, ale potem przyjął. Jakbym mu wręczała mandat, który musi dopiero spłacić. Czy wiesz, kochanie, że zanim odszedł, pocałował mnie w dłoń?

Śpij spokojnie, do rana jeszcze daleko. Pośpiewam ci jeszcze.

Pokrop mnie hizopem, a stanę się czysty. Obmyj mnie, a nad śnieg wybieleję. Spraw abym usłyszał radość i wesele. Niech się radują kości, które skruszyłeś.

Znaleźliśmy to miejsce, bo można się tu było schować. To nasza kryjówka, a one przyciągają uciekinierów jak magnes. Jeszcze jej nie widzisz, ale czujesz obecność idąc przez gęsty las. Jak lis swoją jamę, a ptak gniazdo – człowiek, który ucieka wyczuwa takie miejsca zwierzęcym zmysłem. Ja i mężczyzna, który się nami opiekuje, także poczuliśmy je, jeszcze zanim zobaczyliśmy. Tu każda deska ma swój

zapach, kochanie. W ziemię wsiąkały pot i krew. Niewykluczone, że w ciągu dnia byłoby nam tu dużo trudniej trafić niż nocą. Ale jesteśmy, westchnęliśmy z ulgą, kiedy tylko przekroczyliśmy próg. Wszystkie poprzednie westchnienia unoszą się pod sufitem, krążą jak muchy latem.

A jeśli przyjdzie tu ktoś inny? Nie możemy zatrzymać tego miejsca tylko dla siebie. Musimy tu wpuścić każdego. Tak, te dwie kobiety również.

To chyba matka i córka, nie wydaje ci się? Trzymają się za ręce w ten sposób. Są brudne. Brudniejsze niż tylko od drogi. Czarne włosy, czarne, wysmarowane sadzą twarze. Westchnąłeś przez sen. Wiesz, co się z nimi stanie, prawda?

Ale teraz po prostu chcą chwilę odpocząć. Może nawet krótszą niż do rana. Nauczyły się nie myśleć. Wydaje im się, że jesteśmy kapliczką postawioną na skrzyżowaniu dróg. Wokół nas rosną kwiaty; wysokie, cierniste krzaki. Przedzierają się przez nie i opierają o nas plecami. Od strony drogi, nikt ich nie zobaczy. Dopóki trwa noc. Mogą na chwilę zasnąć. Jak między tobą i mną, przepływają od nich myśli i obrazy. Jesteśmy o siebie oparci plecami, śnimy teraz w czwórkę ich sen.

„Milczenie katedry” i „Już pora”: Książki Jana Maciejewskiego w księgarni „Teologii Politycznej”

Niski sufit, stłumione oddechy. Kroki nad naszymi głowami. Oczy świecące w ciemności. Krzyk, płacz. Bieg przez noc, za plecami szczenie psów. A potem wiele podobnych nocy, każde w innym

miejscu, nowej kryjówce. Tylko ciemność jest zawsze ta sama. One opierają się o nas, my o nie. Moje dziecko, co możemy dla nich zrobić?

Moje dzieci, już nigdy nie będziecie uciekać. Sen się odwróci, zmieni swój kierunek. Od tej chwili, od najbliższego rana, a nawet jeszcze przed świtem, to wy zaczniecie ich ścigać. Nocami, bo wtedy wychodzą ze swoich kryjówek. Nie patrz tak na mnie, córko, nie żartuję sobie z ciebie. Sny się nie kończą, one tylko się zmieniają. Czasami coś w nich pęka od środka i koszmar staje się marzeniem albo marzenie koszmarem. Ale dzisiaj stało się to pierwsze. Nie wiem, kiedy ich dopadniecie. Im będzie się wydawało, że to oni was znaleźli. Ale wy już będziecie wiedziały, że to nieprawda. Przekonają się o tym, kiedy każde ich przekleństwo rzucone na was będzie do nich wracać. Zostaną pokonani własną bronią. Na koniec wykonają wyrok na samych sobie. Wycelują do was, wystrzelą, a potem rozejrzą się zdziwieni. Zobaczą was, odchodzące. Będziecie trzymały się za ręce, tak samo jak dzisiaj w nocy. I zupełnie inaczej. Wasz uścisk będzie silniejszy niż wtedy, kiedy próbowałyście dodać sobie nim otuchy. Będziecie biegły przed siebie, jak matka i córka, które pierwszy raz w życiu zobaczyły ocean. Zrzucicie z siebie ubrania w biegu i wpadniecie w wielki błękit, będziecie się unosiły na jego falach. A tamci trzej – bo oni zawsze chodzą trójkami, czyż nie? – będą stali na skarpie. Będą patrzyli na was ze wstydem i podziwem. Dzieci moje, przypłynę wtedy do was. Przypomnimy sobie tę noc i upewnimy się nawzajem, że to wszystko było czymś więcej niż snem. Popatrzymy na nich, pomachamy im z daleka. A oni odejdą, ciągnąc za sobą strzelby po ziemi. I teraz już każdego dnia będą się zrywać przed świtem. Tylko od teraz już zawsze będą wiedzieć, że są ścigani. Będą biec już tylko ze strachu, a same wiecie, że wtedy jest wolniej. Więc w końcu kiedyś ich dopadną. Postawią pod ścianą. I znowu, jeszcze raz, staną nad tamtą skarpą. Zobaczą pod stopami przepaść. Ale nie będzie już przed nimi oceanu.

Śpijcie spokojnie, moje dzieci. Już jest dobrze. Już wszystko jest inaczej. Śpijcie. Zaśpiewam wam do snu.

Wezmę was spośród ludów, zgromadzę was ze wszystkich krajów i przywiodę z powrotem do waszej ziemi. Pokropię was czystą wodą i staniecie się czysti. Dam wam serce nowe i nowego ducha tchnę w wasze wnętrza. Wtedy zamieszkacie w kraju, który dałem waszym przodkom.

Czy to już rano? Chyba nie, zostało jeszcze kilka godzin. Dlaczego jest tak jasno? Słońce jest ciepłe i jednostajne, a te błyski są nerwowe, trzęsą się, przepychają. Dookoła zrobiło się tak tłoczno. Jesteśmy tacy mali, schowani, chociaż tyle par oczu nam się przygląda. Dookoła nas krąży pociąg. Owce, pasterze, magowie. Nieruchome, puste oczy, zastygnięte twarze bez wyrazu. Ciała z plastiku. Chyba pierwszy raz tej nocy naprawdę się boję.

Nareszcie sobie poszli. Światła gasną, robi się cicho. Podchodzi do nas kapłan. Jest inaczej ubrany niż ci, których widziałam dotychczas, między jakimi się wychowywałam. Ale to kapłan, jestem pewna, ma coś takiego w swojej twarzy. U nich te twarze zawsze do połowy wymierają. A potem odżywają – ale są już wtedy zupełnie inne. Albo nie, zostają na wpół uschnięte – jak drzewo, które nie może się zdecydować, czy

umarło, czy jeszcze kiedyś wyda owoce. Kiedyś sam to zrozumiesz synku, lepiej niż jestem ci to w stanie wytłumaczyć; lepiej niż sama to teraz rozumiem.

Przygląda nam się, trzyma w ręce jakąś poszarzałą szmatkę. Wyciera nam nią twarz. Jego palce są twarde, popękane na czubkach. Powieki opadłe do połowy, wydaje się niewyspany albo znudzony. On też się cieszy, że tamci ludzi już sobie poszli. Boi się ich. To ze strachu, nie ze zmęczenia ma przymknięte do połowy powieki. Teraz, kiedy czuję na sobie jego dotyk przez ten brudny materiał, rozumiem, że ty znasz go doskonale. Że już wiele razy dotykał cię tymi popękanymi, twardymi palcami.

Posłuchaj: Jan Maciejewski i Marek Cichocki debatuja w redakcji „Teologii Politycznej”

Patrzy na nas chwilę, zdaje się, że dopiero teraz nas zauważył. Nie tyle przetarł nas wilgotną szmatą, co odpakował. Patrzy z wyrzutem, tajoną od dawna pretensją. Czy czegoś mu odmówiliśmy, mój kochany? W czymś go zawiedliśmy? Zapłakałeś przez sen, pierwszy raz tej nocy. Śpij, śpij mój mały.

Ty bowiem Boże, jesteś mocą moją. Czemu mnie odrzuciłeś? Czemu chodzę smutny, nękanym przez wroga? Ześlij swą światłość i wierność swoją. Niech mnie przywiodą na górę twą świętą, do twoich przybytków. I przystąpię do ołtarza Bożego. Do Boga, który jest weselem i radością moją.

A teraz wyciąga do nas ręce, ale nie patrzy nam w oczy. Trzyma cię w dłoni, a ty pozwalasz mu się dotykać. Jesteś bezwładny w tym dotyku, zupełnie jakbyś spał. Ty czujesz jego dotyk, ale on nie czuje ciebie. Pozwól, że złapię go za ramię. Już chciał je opuścić, ale ja sprawię, że jeszcze chwile zostanie w tej pozycji. On też jest moim synem, wolno mi więc chyba szeptać mu do ucha, jak sądzisz?

Nie mów nic więcej. Nie myśl. Nie szukaj argumentów ani ich syjamskich sióstr, wymówek. Rób tylko to, co jest najprostsze. Jesteś moim dzieckiem. Wolno ci być dzieckiem. I tak się zachowuj. Po prostu, dotykaj i patrz. I jeśli już mówisz, to jak dziecko. Wróciłeś właśnie do domu. Nie było cię tu już dawno. Rzucasz walizkę, biegniesz, wpadasz jej w objęcia. Mów teraz, jak wtedy mówiłeś do niej. „Jesteś, nareszcie. Jesteś”.

A teraz już śpij. Śpij spokojnie.

Duszo ma, czemuś zgnębiona, czemu miotasz się we mnie?

Tu można się nie tylko ukryć, synku. Nie tylko siebie samego schować, ale też to, co się ze sobą chce zrobić. W takim miejscu jak to, można się ukryć przed własnymi oczami. O to chyba chodzi właśnie temu mężczyźnie, który wśliznął się tu z nocy. Wydaje mu się, że jesteśmy lampą naftową, podchodzi do nas i przygląda się jak śladowi

pozostawionemu przez kogoś, kto może mu przeszkodzić w realizacji jego zamiarów. Ale potem macha ręką. Nie słyszy, żeby ktoś się zbliżał. Nie potrzebuje aż tyle czasu. To zajmie tylko chwilę.

Odpina pasek od spodni. Zaciąga pętlę. Wchodzi na belkę siana stojącą pod ścianą. Zawiję drugą część paska o belkę wiszącą pod sufitem. Spieszy się jak ktoś, kto boi się, że mu przerwą. I jak człowiek, który bardzo długo zwlekał, a kiedy podjął już decyzję, spieszy się jak wystrzelony ze sprężyny naciągającej się latami. I to pośpiech jest głównym przeciwnikiem jego planów. Czy widzisz synku, jak trzęsą się jego ręce? Są delikatne, lekko pulchne. On sam też jest ciężki. Jakby upchał w sobie mnóstwo wątpliwości, planów, marzeń. Żadnemu z nich nie pozwolił wyjść na zewnątrz. Bał się o nie i kochał je, ale jak złe matki, które nie chcą wypuścić dzieci z domu; nie potrafią wyobrazić sobie, co się z nimi stanie, gdy stracą je z oczu.

A kiedy już się odważył, zdarzyło się to, od czego zawsze wszystko się zaczyna. Potknął się, pomylił, okrył wstydem jak płachtą i uciekł. Marzenie odkryły w nim doskonałą glebę, rosły na nim, pleniły się jak grzyby na spróchniałym drzewie. Im bardziej gnił, tym lepiej się rozwijały. Uśmiechasz się przez sen, mój mały? Nie masz dla niego litości? Nie wyciągniesz do niego ręki? A może właśnie uśmiech...

Wreszcie mu się udało. Wykopał belkę siana spod nóg i zakołysał się na pętli z paska. Deska jęknęła, trzeszczy w rytm kołysania, ale wytrzymuje jego ciężar. Jego twarz sinieje, oczy wychodzą na wierzch. Zaczyna wierzgać nogami. Nie wydaje ci się, że zmienił zdanie? W ostatniej chwili albo jeszcze później?

Deska pęka, a on ląduje na ziemi. Wciąga powietrze z głośnym rżeniem. Powoli odzyskuje kolory. A ty znowu się uśmiechasz, synku. To właśnie dla niego masz? Tak ci się przyśnił? Tego mu trzeba?

Podchodzę do niego, głaszczę go po włosach. On patrzy na mnie, wydaje mu się, że to halucynacja, tak blisko był już granicy wielkiego snu, że teraz dostrzega mnie, ale tylko jak przez mgłę. Łapie moją rękę swoją mokrą od potu, lepką dłonią. Próbuje coś powiedzieć, ale słowa nie chcą się jeszcze z niego wydostać. Coś już jednak wie. Musi to tylko nazwać, zaraz, szybko, zanim mu umknie. Śpij, mój biedny, niech ci się przyśni.

Pan uczynił nam wielkie rzeczy i radość nas ogarnęła. Ci, którzy we łzach sieją, żąć będą w radości. Idą i płaczą niosąc ziarno na zasiew, lecz powrócą z radością niosąc swoje snopy.

Już mnie nie widzi. Wydaje mu się, że byłam tylko przywidzeniem. Ale nie tylko ja. Zaczyna się śmiać. Pociera siedzenie, na którym wylądował i zatacza się ze śmiechu. Z tego co zrobił. I czego się bał. Co wydawało mu się ważne. Śmieje się z tego, co uważał za jawę. I jeszcze bardziej z rzeczy, które traktował jak złudzenie.

Próbuje odwiązać pasek od belki, ale idzie mu to jeszcze gorzej niż przed kwadransiem szło zawiązywanie. Spodnie co chwila się z niego zsuwają. Widzi swoją śmieszność. Patrzy na siebie, jakby siedział na widowni. Po raz pierwszy od bardzo dawna widzi coś tak wyraźnie. Tak jaskrawo, że aż mruży oczy. Wydaje mu się, że to ze śmiechu, ale my

widzimy, że jest inaczej. Wreszcie się uspokaja. Pociera głowę, ma wyraz twarzy artysty, którego właśnie natchnął jakiś szalony pomysł i zastanawia się, czy nie jest on zbyt śmiały. Widzisz synu? Zrozumiał, że jeśli wie już, co jest warte prawdziwego śmiechu, to odnajdzie też rzeczy godne absolutnej powagi. Kiwa głową, rusza ustami jak ktoś próbujący nauczyć się na pamięć roli. Albo nie zapomnieć pomysłu. Patrzy na nieodwiązany pasek. Chwyta spodnie dłonią i wychodzi, trzaskając drzwiami.

Wrócił. Patrzy na nas. Wydaje mu się, że jesteśmy schowani za szybą, tuż pod sufitem. Jesteśmy pomalowani na jaskrawe, źle skomponowane kolory, a nasze twarze są grubo wyciosane z drewna. Puszczą do nas oko. Robi znak krzyża.

Już świta, synku. Ale to jeszcze nie koniec snu. Jeszcze chwila, mój najdroższy. Dokąd teraz mnie weźmiesz?

W judejską ziemię wsiąka krew i milczą drzewa w Nazarecie. My wciąż w tę samą gramy grę, jak w nierealnym kabarecie.

Jesteś już dorosły. Klęczysz na trawie, palce wpiłeś w ziemię. Ludzie, których prosiłeś by nie zasypiali, śpią tuż obok. Ktoś ich ukołysał do snu, ale to nie byłam ja. Przysięgam. Wcześniej nie wiedziałam jak smakuje strach. Teraz, we śnie, wiem, że jest cierpki jak wino, że uderza do głowy. I potem długo boli. Ale najpierw gryzie w przełyk, wyciska ślinę z wnętrza ust.

Kołyszysz się, mój mały. Kołyszysz się w tym samym rytmie, w jakim ja kołyszę cię tej nocy. Ale nie trzymam cię w rękach. Jesteś już dorosły. Zrobiłam, jak obiecałam. Oddałam cię ziemi, trawie, kamieniom. I drzewom.

Kołyszysz się, bo śniesz na jawie, ale nie pozwalasz mi zajrzeć. Widzę tylko strzępki, fragmenty.

Jest tu człowiek, który zdradził. Zapisał coś na kartce i nie zgniótł jej w porę. Przekazał ją komu innemu. Puścił w ruch maszynę, w której rytm się kołyszysz. A teraz biegnie, bo szuka ludzi z bronią w ręku. Ale nie chce ich pokonać, woli ich zabrać ze sobą. Nie wierzy w morza i oceany, widzi tylko urwiska. Biegnie naprawdę szybko. Nie wiem tylko, czy bardziej ucieka, czy wyrusza na polowanie. A potem idziesz wśród tłumu, dotykają cię palcami wyschłymi i twardymi jak kamienie. Tamten, który biegł, zapomniał już, że istnieje coś takiego jak śmiech. Wcześniej wmówił sobie, że nie ma spraw i rzeczy, przed którymi warto byłoby klękać, więc jak ma teraz pamiętać, że są też takie – i to w większości – z których powinno się tylko i wyłącznie śmiać. Biegnie, w biegu wyciąga zza pleców sznur. Dopada do drzewa, całuje je jak ostatnią deskę ratunku. Zaciąga pętle na szyi. Zawiązuje drugi koniec na gałęzi. Odpycha się stopami. Gałąź wytrzymuje jego ciężar.

Nie płacz, kochanie. Już dobrze. Słońce już wstało. Jest dzień. Twój pierwszy dzień. Tamta noc już minęła.

Jan Maciejewski

Na motywach obrazów Beaty Stankiewicz „Kontemplacja Dzieciątka” i „Boże Narodzenie z barankiem” – dzieł powstałych w ramach projektu „Namalować katolicyzm od nowa”.

Ponad dwadzieścia nowych przedstawień tajemnicy Bożego Narodzenia obecnie można oglądać w Książnicy Beskidzkiej w Bielsku Białej – do 20 lutego 2026.

Przedruk za: Rzeczpospolita, „Plus Minus” z 19 grudnia 2025 r.